

VICTOR E. FRANKL

# S I Ł A D O Ż Y C I A

*Nie w świecie nie jest bezsensowne,  
a cierpienie najmniej ze wszystkiego.*

Oscar Wilde

W Bawarii jest miasteczko, które nazywa się Landsberg, odległe około 50 km od Monachium.\* Na południe od niego wiedzie szosa do odległego o 5 km Markt Kaufering. Na początku roku 1945 o świecie szosą tą szło 280 mężczyzn. Kolumna szła piątkami i była eskortowana przez SS-manów: była to grupa więźniów obozu koncentracyjnego w Kauferingu (filia obozu w Dachau — uwaga tłum.). Szli do pobliskiego lasu, by budować zamaskowaną olbrzymią fabrykę zbrojeniową. Byli to obdarte, wymizerowane postacie. Kuśtykali, wlekli się, częstokroć jeden uwieszony drugiego, wspierając się nawzajem. Nogi straszliwie nabrzmiały od puchliny głodowej ledwo mogły udźwignąć ciała ważące przeciętnie 40 kg. Stopy bolały, poranione, pełne ropiejących odcisków i popekanych odmrożeń. A cóż działo się w mózgach tych mężczyzn? Myśleli o zupie, wydzielanej w obozie raz dziennie wieczorem i pytali się, czy tego wieczoru uda im się oprócz wody wyłowić pływający w zupie kartofel. I myśleli o tym, do jakiej grupy roboczej będą za kwadrans przydzieleni: czy dostaną się pod straszliwego dozorcę, czy do grupy względnie znośnego. Tak krążyły myśli tych ludzi wokół codziennych trosk więźnia lagru.

Ale naraz, jednemu z tych ludzi myśli te wydały się jakoś zbyt głupie. I próbował wzbudzić się do innych myśli, do trosk „bardziej godnych człowieka”. Ale nie udało mu się to. Wtedy użył takiego wybiegu: starał się zyskać dystans wobec tego pełnego męki życia, stanąć ponad nim, patrzeć na nie z wysokiego punktu obserwacyjnego. Cóż uczynił? Wyobraził sobie, że stoi na katedrze w wiel-

---

\* Artykuł ten jest odpowiedzią V. E. Frankla na ankietę: „Co daje mi siłę do życia?” z którą zwrócił się dr A. Bähr do szeregu wybitnych osobistości, m. in. do Bubera, A. Schweitzera, G. Marcela, G. Manna, A. Portmanna, Radakrishnana, V. E. Frankla. Odpowiedzi te ukazały się w książce pod tytułem *Kraft zu Leben* (uwaga tłumacza).

kiej, pięknej, cieplej, jasnej sali wykładowej i ma rozpocząć prelekcję pt. „Psychologia obozu koncentracyjnego”.

Gdybyście się dokładniej przyjrzeni temu człowiekowi idącemu w owej kolumnie, zauważylibyście, że na jego kurtce i spodniach przyszyte są kawałki płótna z numerem 119 104. A gdybyście odszukali ten numer w księgach obozu w Dachau, dowiedzielibyście się, że zapisano przy nim: Frankl, Victor.

Pozwólcie mi teraz odwrócić ten eksperyment myślowy i wyobrazić sobie, że wchodząc w rolę tego mężczyzny, udzielam wywiadu w związku z przyczynkiem, który mam napisać o zasadniczym doświadczeniu, jakie zdobyłem w obozie koncentracyjnym, w tym bycie w przepaści. Wtedy z tego wszystkiego, co tam przeżyłem, da się wyciągnąć następującą kwintesencję: *o ile istnieje coś, co sprawia, że człowiek może sprostać takiej sytuacji granicznej, jaką jest obóz koncentracyjny, to jest tym jego wiedza o konkretnym i osobistym sensie jego istnienia.*

Wyjaśnię to na przykładzie: pewnego dnia siedziało przede mną dwóch ludzi, obaj zdecydowani popełnić samobójstwo. Obaj używali stereotypowego dla lagru zwrotu: „Nie mogę już niczego oczekiwać od życia...” Teraz chodziło o to, jak sprawić, by ci dwaj ludzie dokonali kopernikowskiego zwrotu, mianowicie by już nie pytali czy i czego mogą oczekiwać od życia, lecz na odwrót, dostrzegli, że życie na nich czeka, że na każdego z nich, na niego, właśnie na niego, ktoś lub coś wyczekuje: jakieś dzieło lub jakiś człowiek. I rzeczywiście, okazało się zaraz, że po drugiej stronie tego, czego obaj więźniowie spodziewali się od życia, życie oczekiwało każdego z nich z zupełnie konkretnymi zadaniami. Okazało się mianowicie, że jeden z nich wydaje serię książek geograficznych, serię, której jeszcze nie doprowadził do końca, a drugi ma córkę za granicą, która go ubóstwia. Na jednego czekało zatem dzieło, na drugiego — człowiek. Obaj więc byli w równej mierze afirmowani w tej wyłączności i niezastąpioności, która pomimo cierpienia potrafi nadać życiu bezwarunkowy sens. Dla swej naukowej pracy jeden z nich był tak samo niezastąpiony, jak drugi niewymienny był w miłości swej córki.

*Kto w obozie nie potrafił wierzyć w przyszłość, był zgubiony.* Wraz z przyszością tracił duchowy punkt oparcia, zaczynał wewnętrznie spadać i rozpadał się zarówno cieleśnie jak i psychicznie. Działo się to przeważnie dość nagle przybierając formę pewnego kryzysu, którego objawy były dobrze znane doświadczonemu więźniowi obozu.

Oto przykład:

Na początku marca opowiadał mi pewien kolega obozowy, że 2 lutego 1945 r. miał dziwny sen: jakiś głos, podający się za pro-



roczy, rzekł mu, że może on go o coś zapytać, a otrzyma odpowiedź na każde pytanie. I zapytał, kiedy dla niego skończy się wojna. Odpowiedź brzmiała: „30 marca 1945 r”. I oto zbliżał się 30 marca, ale nic nie wskazywało na to, że „głos” miał rację. 29 marca kolega mój począł gorączkować i popadł w delirium. 30 marca stracił przytomność, 31 marca umarł. Zmiotł go tyfus plamisty. Rzeczywiście, „dla niego” 30 marca, w dniu, w którym stracił przytomność, wojna się zakończyła. Nie popełnimy błędu, gdy przyjmujemy, że na skutek rozczarowania, które przyniósł mu rzeczywisty bieg rzeczy, siła obronna organizmu zmniejszyła się tak dalece, że drzemiąca już w nim infekcja miała teraz bardzo łatwą grę.

Amerykański psychiatra wojskowy, Nardini, który zdawał sprawę ze swych doświadczeń z żołnierzami amerykańskimi będącymi w japońskiej niewoli, miał okazję stwierdzić, jak bardzo szansa przeżycia niewoli zależna była od zapatrywania się na życie. A więc od duchowej postawy wobec konkretnej sytuacji. W końcu doświadczenie to zgodne jest z mądrością następującego zdania Nietzschego *Wer ein „Warum” zu leben hat, erträgt fast jedes „Wie”* (Ten kto ma „po co” żyć, zniesie każde „jak”).

Wszystkie te pytania nabierają dzisiaj szczególnej aktualności. Do psychiatry zwracają się pacjenci, ponieważ zwątpili w sens swego życia. Albo nawet przestali wierzyć, że kiedykolwiek ten sens znajdą. Oto czego im brak: wiedzy o czymś takim jak sens, który nadałby życiu wartość. To, co nazywam „egzystencjalną próżnią”, napotyka dziś psychiatra na każdym kroku.

W związku z mymi wykładami w języku niemieckim dla studentów niemieckich, szwajcarskich i austriackich, około 40% przyznało, że przeżywa lub kiedyś doświadczyło uczucia bezdennej bezsensowności. Po moich wykładach w języku angielskim dla studentów z USA było takich osób około 80%. Naturalnie nie znaczy to, że pustka egzystencjalna opada przeważnie Amerykanów, ani że zawdzięczamy ją tzw. amerykanizacji. Oznacza to jedynie, że stanowi ona jedną z cech wysoko uprzemysłowionego społeczeństwa. Człowiek cierpi dziś nie tylko na zubożenie instynktu, lecz także na utratę tradycji. Obecnie instynkty nie mówią mu co musi, a tradycje co winien czynić. Niedługo nie będzie już wiedział czego chce, a zacznie naśladować innych. Popadnie w konformizm.

Nie chodzi bowiem o to, by za wszelką cenę unikać napięć. Co więcej, wierzę, że człowiek potrzebuje pewnej zdrowej dozy napięcia. Jestem przekonany, że istotną cechą ludzkiej egzystencji jest znajdowanie się w spolaryzowanym polu napięcia między



„być” a „mieć powinność”, stać w obliczu sensu i wartości i być przez nie wzywany.

Jest zatem całkiem zrozumiałe, że Theodore A. Kotchen stwierdza na podstawie badań statystycznych, iż wycucie, gdzie leży sens życia, „orientacja sensowa” jest miarą zdrowia duszy człowieka. A Pearl Schroeder twierdzi na podstawie statystyk, że postęp terapeutyczny pacjenta zależy od jego poczucia odpowiedzialności.

Tym bardziej może tu zaważyć fakt, że higieną psychiczną dotąd rządziła w mniejszym lub większym stopniu fałszywa zasada, iż człowiekowi potrzebny jest przede wszystkim spokój i równowaga. Relaks za wszelką cenę. Tymczasem dziś powinniśmy mniej obawiać się przeciążenia niż stawiania zbyt małych wymagań człowiekowi i to szczególnie młodemu. Gdy znajduje on zbyt mało napięcia, tzn. jeśli za mało porywają go wzory prawdziwych ludzi, wtedy szuka napięcia choćby takiego nawet, jaki wynika ze strachu przed policją, którą stara się sprowokować. Istnieje bowiem nie tylko patologia stressu, lecz także patologia braku obowiązków. Jak wiadomo, całkowite odsunięcie wrażeń zmysłowych, jak to ma miejsce w ramach eksperymentów przygotowujących do podróży kosmicznych, prowadzi do halucynacji. Badania na uniwersytetach Yale i Harvard wykazały jednak, że powodem tych efektów nie jest brak podniety dla zmysłów w ogóle, lecz brak sensownej podniety. Wniosek wyżej wymienionych autorów brzmi: „Ażeby normalnie funkcjonować, mózg potrzebuje ciągłego sensownego kontaktu ze światem zewnętrznym”.

Psychoanalicycy w Stanach Zjednoczonych biadają nad tym, że mają do czynienia z nowym typem neurozy, której cechą najbardziej rzucającą się w oczy jest brak inicjatywy. Dotychczasowe leczenie, jak narzekają koledzy, zawodzi zupełnie w takich wypadkach. I jeśli Boss nazywał nudę neurozą przyszłości, to od siebie chciałbym dodać, że „przyszłość już się zaczęła”. (Aluzja do tytułu słynnej książki Junga — uwaga tłum.). Co więcej, chorobę tę przepowiedział już w zeszłym stuleciu Schopenhauer, uważając, że ludzkości wyraźnie jest przeznaczone wieczne oscylowanie między dwoma ekstremami: trudną sytuacją a nudą. Jak widać, człowiek na dłuższą metę nie znosi stanu absolutnego nieobciążenia w sensie psychologicznym, tak samo jak nie znosi stanu absolutnej nieważkości w sensie fizycznym, i jasne jest, że nie potrafi egzystować zarówno w przestrzeni pozbawionej sensu, jak w przestrzeni pozbawionej powietrza. Einstein kiedyś powiedział: „Człowiek, który uważa swe życie za bezsensowne, jest nie tylko nieszczęśliwy, lecz jest niezdolny do życia”.



I teraz stoimy przed interesującym problemem, przed pytaniem, jakie istnieją zasadnicze możliwości nadania sensu życiu, a więc realizowania wartości? Można swemu życiu nadać sens stawiając za cel jakiś czyn, lub dokonywując jakiegoś dzieła. Ale można swemu życiu nadać sens także przez to, że chłonie się piękno, dobro i prawdę, lub dzięki temu, że choćby jednego człowieka przeżywa się w jego istocie, jego niepowtarzalności i niezwykłości. *Przeżyć zaś jakiegoś człowieka jako niepowtarzalnego i niezwykłego znaczy przeżyć go jako „ty”, czyli kochać go.* Ale nawet człowiek znajdujący się w sytuacji przymusowej, w której nie może ani czynami realizować wartości ani nadawać swemu życiu sensu dzięki przeżyciom, także i ten człowiek może jeszcze swemu życiu nadać sens właśnie przez sposób, w jaki przyjmuje ten swój los, tę swoją sytuację przymusową, przez to jak bierze na siebie swe losowo konieczne cierpienie, jakby swój krzyż. Właśnie w tym dana mu jest ostateczna możliwość realizowania wartości.

I tak życie ma sens aż do ostatniego tchnienia, zachowuje swój sens aż do ostatniego momentu, bowiem ta *możliwość realizowania wartości polegająca na sposobie przyjmowania losowo koniecznego cierpienia zawsze istnieje.*

Teraz rozumiemy mądrość słów Goethego, który kiedyś powiedział: „Nie ma sytuacji, która nie dałaby się uszlachetnić albo przez dokonanie czegoś, albo przez doznanie”. Tylko właściwie powinniśmy dodać jeszcze, że stosowne znoszenie, tzn. właściwe, wyprostowane ścierpienie prawdziwego losu jest przecież dokonaniem, a nawet najwyższym osiągnięciem, jakie człowiekowi może być dane.

Teraz muszę mówić o mych osobistych przeżyciach. Gdy w obozie koncentracyjnym zdawało się, że oczekuje mnie rychła śmierć, byłem najpierw zrozpaczony z tego powodu, że rękopis książki *Ärztliche Seelsorge* („Lekarska troska o duszę”), który zniszczono mi w Oświęcimiu, nie będzie mógł być nigdy opublikowany. Sytuacja zażądała ode mnie, bym wyrzekł się szansy powtórnego napisania książki, a w tej konkretnej sytuacji oznaczało to, bym przebił się do takiego przekonania: cóż warto byłoby życie, którego sens by zależał od tego, czy ktoś ma okazję opublikować książkę, czy nie? Wprawdzie bardzo nad tym cierpiełem, ale, choć było to strasznie bolesne, stało się dla mnie jasne; *sens życia jest taki, że spełnia się nawet w zupełnym niepowodzeniu.* I cóż się stało: oto w zamian za kilka tuzinów stron gotowego do druku rękopisu, dzieła mojego życia, znalazłem w kieszeni podartego i zniszczonego ubrania, które przejąłem od kogoś mniej szczęśliwego, od kogoś, kto zginął w komorze gazowej w Oświęcimiu, kartkę wyrwaną z hebrajskiego modlitewnika, a na tej kartce: „Szma



Jizrael...” (Słuchaj Izraelu; pierwsze słowa głównej modlitwy i przykazania Żydów — uwaga tłum.). Jakże miałbym inaczej interpretować ten przypadek, jeśli nie jako coś więcej niż przypadek? Jedyne jako wezwanie, bym już nie myślał o publikowaniu, lecz wyłącznie o realizacji tego, co stało mi przed oczami.

Powyżej mówiłem, że człowiek nie powinien pytać, czego ma oczekiwać jeszcze od życia, lecz że życie na niego czeka. Można to także w ten sposób sformułować: koniec końców *nie ma co pytać, co jest sensem życia, lecz trzeba przeżywać siebie jako zapytawanego przez życie. Życie pyta człowieka, życie stawia mu pytania a do niego należy odpowiedzieć na te pytania przez to, że żyje odpowiedzialnie (że odpowiada za swe życie).*

Niekiedy człowiek jest nie tylko pytany, lecz wystawiany na próbę. I to ma miejsce zawsze, gdy jest konfrontowany z losowo koniecznym cierpieniem. Teraz powstaje pytanie, czy życie jest może nie ostatnią, lecz przedostatnią instancją, która człowieka pyta. Tak czy inaczej, życie jest pytaniem, życie jest zadaniem, a religijny człowiek różni się, być może, od pozornie niereligijnego jedynie tym, że swój byt przeżywa nie tylko jako zadanie lecz jako polecenie, a to oznacza, że on przeżywa także tę instancję, która stawia mu to polecenie. Od tysięcy lat instancję tę nazywa się Bogiem.

W tym miejscu jednak wiedza przemienia się w wiarę. Sensu ostatecznego człowiek nie może już z r o z u m i e ć, może go jedynie interpretować. W wypadku takiej interpretacji oczywiście nie chodzi o nic innego, jak o przypadek projektywnego testu (*projektiver Test*). Chciałbym to pojęcie wyjaśnić na przykładzie zacerpniętym znów z osobistego życia. Całymi latami musiałem czekać na wizę do USA, w końcu, na krótko przed przystąpieniem Stanów do wojny powiadomiono mnie listownie, bym zgłosił się do konsulatu USA po wizę. Wtedy zadrżałem, zawahałem się: miałbym zostawić mych rodziców? Wiedziałem przecież, jaki los ich czekał: deportacja do obozu koncentracyjnego. Czyż miałem po prostu ich pożegnać i zostawić swojemu losowi? Ależ moi rodzice nie spodziewali się niczego innego! Niezdecydowany opuszczam dom, idę się nieco przejść, myślę sobie: czyż nie jest to typowa sytuacja, w której potrzebna jest koniecznie wskazówka niebios? Potem wracam do domu i moje spojrzenie pada na nieduży kawałek marmuru, który leży na moim biurku. „Co to takiego?” — zwracam się do mojego ojca. — „To znalazłem dziś na gruzach, gdzie stała dawniej synagoga, którą spalono. Ten kawałek marmuru to kawałek tablicy mojżeszowej. O ile cię to interesuje, mogę ci powiedzieć, do którego z dziesięciu przykazań odnosi się ta wykuta hebrajska litera; bowiem istnieje tylko jedno przy-



kazanie, którego jest inicjałem". „A więc?” — napieram na ojca. Odpowiedź brzmi: „Czcij ojca swego i matkę swoją, byś długo żył w kraju...” I tak pozostałem w kraju, u mych rodziców i pozwoliłem, by wiza przepadła.

Jest to opowieść o małym kawałku marmuru. Być może, że moja decyzja pozostania była w głębi od dawna już postanowiona i ta wyrocznia była naprawdę nie czym innym jak echem głosu sumienia. Innymi słowy chodziło o projektwny test. To nie wskazówkę zrozumiałem, lecz zinterpretowałem przypadek. Być może, ale czyż to twierdzenie nie jest już interpretacją? I tak interpretacja nie będzie oszczędzona zarówno czytelnikowi, jak i mnie.

Wiara w sens ostateczny, który trzeba zinterpretować, jest murem, za który nie możemy dalej się cofnąć i pytać dalej. Krótko mówiąc, ludzka wiara w sens jest kategorią transcendentálną (w rozumieniu kantowskim). *Istnienie ludzkie* (człowieka) *jest istnieniem ku sensowi*, choćbyśmy go jeszcze bardzo mało znali. Istnieje coś takiego jak przedwiedza sensu — czy człowiek tego chce, czy nie, czy przyjmuje to do wiadomości, czy nie, człowiek wierzy w swój sens tak długo, jak długo oddycha. Nawet samobójca wierzy jeszcze w jakiś sens — choć nie jest to sens życia, życia dalej, to jednak sens umierania. Gdyby rzeczywiście nie wierzył w żaden sens, naprawdę w żaden — nie potrafiłby wtedy ruszyć nawet palcem, a cóż dopiero zmierzać do samobójstwa. Łatwo postawić tu zarzut, że człowiek jest przeciążony konfrontacją ze światem sensu i wartości. Wbrew temu uważam, że *wiara w sens ostateczny jest czymś najbliższym leżącym, o ile utoruje jej drogę trud myślenia* i „natężenie pojęcia”. Następujący przykład ma pokazać, jak kształtują się te sprawy w praktyce:

Pewnego dnia „wdepnąłem” w posiedzenie terapeutycznej grupy prowadzonej przez mojego asystenta. Grupa omawia właśnie przypadek kobiety, która niedawno temu straciła swego jedenastoletniego chłopca z powodu pęknięcia ślepej kieszki, pozostały przy życiu syn ma lat dwadzieścia i cierpi na zespół Little'a, musi być wożony w fotelu na kółkach. Matka rozpacza, bliska jest samobójstwa. Włączam się i „wyciągam” pewną młodą kobietę od której żądam, improwizując, by wyobraziła sobie, że ma około 80-ciu lat i niedługo już ma umrzeć i teraz patrzy wstecz na swe życie, na życie pełne towarzyskiego prestiżu i sukcesów erotycznych lecz w którym nie było nic ponad to: cóż pomyślałaby o swym „życiu”? „Powodziło mi się dobrze w życiu, byłam bogata, rozpieszczana, wodziłam mężczyzn za nos flirtując z nimi, nie odmawiałam sobie niczego. Teraz jestem stara, nie zostawiam dzieci, muszę powiedzieć, że życie moje ściśle biorąc, było chy-



bione. Bowiem do grobu nie mogę niczego zabrać. Po cóż byłam na świecie?" Teraz proszę matkę kaleki, by postawiła się w tej samej sytuacji i by powiedziała, co o n a pomyślałaby: „Chciałam mieć dzieci i moje pragnienie się spełniło. Młodsze dziecko zmarło i pozostałam ze starszym. Gdyby nie było mnie, nie wyrosłoby z niego nic do rzeczy. Wylądowałyby w jakimś zakładzie dla idiotów — ale to ja zrobiłam z niego człowieka. M o j e życie n i e było chybione. Choć było bardzo ciężkie, było jednak pełne zadań i w tej mierze w jakiej udało mi się im sprostać — było pełne sensu. Teraz mogę umrzeć spokojnie”. Szlochając wypowiadała te słowa. Ale współpacjenci pojęli, że *mniej chodzi o to, czy życie człowieka jest pełne przyjemności czy cierpienie, że chodzi o to, czy jest sensowne i w porównaniu z tym mniej ważne jest, czy życie jest krótkie czy długie.*

Ale jeszcze sens cierpienia nie został rozważony gruntownie i ostatecznie. Dlatego kontynuowałem: „Niech państwo sobie wyobrażą, że małpie są dawane bolesne zastrzyki, by zdobyć serum przeciw poliomyelitis. Czy małpa może pojąć dlaczego musi cierpieć? Żyjąc w swoim środowisku nie jest w stanie śledzić rozważań człowieka, który zaprzęga ją do swych eksperymentów, bowiem ludzki świat, świat sensu i wartości, jest jej niedostępny. Do tego świata małpa nie sięga, w jego wymiary nie dociera. Ale czyż z człowiekiem jest inaczej: czyż świat człowieka jest stacją końcową, za którą nic nie ma? Czyż nie musimy raczej przyjąć, że ponad ludzkim światem jest niedostępny człowiekowi świat, którego sens ostateczny może mógłby nadać sens cierpieniu?”

Dzisiejszy lekarz musi zdobywać się na odwagę prowadzenia takich sokratesowskich dialogów, bowiem o ile wątpiący i zrozpaczony człowiek zwracał się dawniej do duchownego, to dziś przychodzi po poradę i pomoc do psychiatry. Ten stan rzeczy nie tylko uprawnia lekarza, ale zobowiązuje go, by poza chorobą ciała i duszy skonfrontował się z duchową potrzebą pacjenta. W końcu jednak musi pacjent sam skonfrontować się ze swymi trudnościami duchowymi i to w ten sposób, że musi wziąć na siebie swą skończoność, skończoność swego ducha.

Właściwie jednak takie przyjęcie własnej skończoności sprowadza się do pokornej postawy wobec *condition humaine*, na której wywarła piętno tragiczna triada: skończoność człowieka dotyczy nie tylko duchowej, lecz także etycznej egzystencji. Dlatego człowiek musi przyjąć nie tylko swą duchową skończoność, lecz także musi przyjąć i uznać swą omylność. Do duchowej i etycznej skończoności dołącza się czasowa skończoność ludzkiego istnienia. To śmiertelność człowieka dopiero uzupełnia i spełnia tę tragiczną triadę. Z tą śmiertelnością skonfrontowany zostaje



człowiek dopiero w wieku podeszłym. Zachodzi teraz pytanie, czy przemijalność ludzkiego bytu nie pozbawia sensu całego życia, także i młodości? W rzeczy samej wierzę, że człowiek, który tak myśli, ulega rodzajowi optycznego złudzenia: widzi on, że tak powiem, jedynie ściernisko przemijalności — a zupełnie nie dostrzega pełnych stodół przeszłości. Byt przeszły jest też rodzajem bytu — może nawet najpewniejszym. W przeszłym bycie nic bowiem nie jest bezpowrotnie stracone, przeciwnie — wszystko jest bezpiecznie zachowane. Co przeszło, co się stało, nie może przestać być dokonanym, nie da się wymazać ze świata. Czyż nie chodzi więc jeszcze bardziej o to, by to wszystko uratować w przeszłość? I odnosi się to ratowanie w przeszłość nie tylko do naszych czynów, lecz do całego naszego życia, a więc także do naszego przeżywania, naszego kochania i nawet naszych cierpień. „Coś przeżył, tego nie może zabrać ci żadna siła” — powiada poeta. I rzeczywiście: krótkiego szczęścia małżeńskiego, które dane było młodej wdowie w czasie wojny nie może nikt jej już odebrać. Dotyczy to nie tylko życia małżeńskiego lecz życia w ogóle — sens życia nie zależy od tego, jak długo to życie trwało. Czyż mało jest przykładów ludzi, którzy umarli młodo, a którzy w wybitnej mierze egzystowali sensownie, dlatego że spełnili jakieś zadanie. Właśnie swoje zadanie, swą misję? Nie zapominajmy o tym, co kiedyś powiedział Laotse: „Spełnić zadanie to znaczy być wiecznym”. Powiem więcej, tkamy tę wieczność co dzień i w każdej godzinie, nawet w najbardziej niepozornym dniu powszednim. Wiedząc o tym, nie potrzebujemy się bać, że przemijalność życia uszczupli jego sens. Sens życia jest bowiem absolutny (bezwartunkowy): tak czy inaczej — życie ma z a w s z e jakiś sens. Nie wolno jedynie kapryścić i upierać się przy pewnej określonej możliwości sensu — mówiąc na przykład, że dla kobiety życie jest wtedy jedynie sensowne, gdy grubo mówiąc, wyjdzie za mąż i rodzi dzieci. Z pewnością małżeństwo i dzieci są wartościami. Ale nie są absolutnymi wartościami i nie wolno ich czcić bałwochwalczo, bowiem gdyby tak było istotnie, że na rozmnażaniu polegałby cel życia, wtedy takie twierdzenie dopiero pozbawiłoby życie sensu. Skoro życie bezdzietne jest życiem bezsensownym, w takim razie życie jest czymś bez sensu i nie może być uczynione sensownym przez to tylko, że je się przedłuża, nawet gdyby się je przedłużało w nieskończoność! Właśnie jest odwrotnie: gdybyśmy nie umierali, wtedy życie nasze byłoby bez sensu, bo wtedy nie mielibyśmy żadnego powodu, by coś załatwić teraz a nie później — równie dobrze moglibyśmy to zrobić kiedykolwiek później — przecież mielibyśmy dużo czasu — nieskończenie wiele czasu?



Ale tak i jedynie dlatego, że czas nagli, ma sens działanie, ma sens branie losu w garść tam gdzie to możliwe, lub gdy trzeba, gdy losu już zmienić nie można, wzięcie go na siebie, by go nosić jako swój krzyż.

Wydaje mi się, że nic chyba nie pomogło by człowiekowi lepiej w uświadomieniu sobie odpowiedzialności, niż następująca dewiza, która kiedyś przysłała do mnie we śnie: *Żyj tak, jakbyś żył już drugi raz, a za pierwszym razem zrobił wszystko tak źle, jak to teraz masz zamiar uczynić.*

Reasumując, chciałbym wyjaśnić właściwe nastawienie do przemijalności ludzkiego bytu za pomocą następującego porównania: pesymista przemijalności, o ile wolno mi go tak nazwać, podobny jest do człowieka, który stojąc przed kalendarzem ściennym co dzień zdziera jedną kartkę i przy tym rzewnie myśli, jak to czas przemija i przecieka mu przez palce. A jakim jest optymista przemijalności? Także i on usuwa ze swego kalendarza kartkę po kartce, jednak odkłada je starannie jedna na drugą i, być może, na odwrocie robi zapiski, patrząc wstecz z dumą na bogactwo, które uskładało się w przeszłości, na wszystko to, co uratował w przeszłość jako skarb niezniszczalny. Czyż taki człowiek ma powód zazdrościć młodszemu? — Czego ma im zazdrościć? Tego, że mają przyszłość przed sobą? Bardzo dziękuję, powie do siebie, wolę, że mam przeszłość za sobą, że sprawiłem, iż jest za mną: w niej są i pozostaną zachowane na całą wieczność wszystkie me czyny, me życie i *last not least*, moje cierpienie, dzielnie przeżyte cierpienie: z niego jestem nawet najbardziej dumny — choć być może z tego względu mój los nie był do pozazdroszczenia. Jak ma się sprawa z człowiekiem, który starzejąc się opanowany został poczuciem, że musi pożegnać się ze wszystkim?

Jednym słowem: ogarnęła go panika zamkniętych drzwi. Wielka metafizyczna panika zamkniętych drzwi i to nie tylko klimatyczna panika... Chciałbym zauważyć z naciskiem; człowiek ten nie dostrzega, że brama, która ma się właśnie zamknąć, jest bramą pełnego spichlerza, do którego zwiózł dawno żniwo swego życia. Nie słyszy pociechy i mądrości, która mówi do niego słowami księgi Hioba: „Idziesz w starości do grobu tak jak snopy zwożone są o swoim czasie”.

**Victor E. Frankl**

tłumaczył Michał Mazur